

## Lidia Winniczuk – *Zawód, który nie sprawił zawodu*

Warszawa 1992, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne  
(s. 144–147)

[...] Oczywiście i ja włączyłam się do tego łańcucha dobrej woli: nikt przecież nie wydał mi rozkazu. Na jaką ulicę płyty te były przeznaczone, nie wiem. Hoża nie miała barykady.

Szczególnie bliska i miła jest mi książka Władysława Zambrzyckiego pt. *Kwatera Bożych Pomyleńców* (Warszawa, Czytelnik 1959), gdyż autor okazał się doskonałym obserwatorem tego, co działo się na odcinku Żurawia (przy której mieszka główny bohater powieści), Wspólna–Krucza, i znajduję tu wiele doskonale mi znanych wydarzeń i sytuacji. Jest i „gołębiarz” z Kruczej, i woda u zbiegu Wilczej i Mokotowskiej, i lekarz ratujący ludzi po piwnicach. Ten lekarz kojarzy mi się z postacią doktora Jerzego Surkonta, który mieszkał przy Żurawiej 35, lecz w niezwykle sposób przenosił się z miejsca na miejsce i ratował ludzi, udzielając im pomocy w piwnicach. Nie tylko on był tak czynny, ale i jego córka Irena (moja uczennica z gimnazjum im. Emilii Plater), która, idąc w ślady ojca, zaczęła już studia medyczne na kursach doktora Zaorskiego; była w powstaniu łączniczką – pod imieniem Ilony; została ranna, szczęśliwie wyszła cała i zdrowa. Lecz syn doktora, Wiktor, zginął podczas powstania; doktor to ciężko przeżył – jak mi po latach opowiadała Irena, zmarł w 1947 roku.

Dzisiaj, kiedy wspomina się te dni grozy, staje przed oczyma przede wszystkim młodzież, a wśród niej tyle moich uczennic, dzielnych dziewcząt, które szły na placówkę, nie myśląc nigdy o śmierci, lecz tylko o pomocy drugim i o walce zwycięskiej. Ileż z nich utkwilo mi w pamięci!

Z każdym dniem groza wzrastała: naloty – znane nam z 1939 roku, „moździerze”, które nauczyliśmy się już odróżniać od ryku „krów” – a ryk ten był przejmujący i wstrząsający... hartowano w nas nerwy... Mieszkania już prawie wszystkie bez szyb... Do naszego największego pokoju od strony Hożej wciąż wpadały drobne odłamki pocisków i wbijały się w drzwi szafy bibliotecznej, orzechowej, z której byłam bardzo dumna, gdyż sama wymyśliłam i nakreśliłam jej wzór. Matka chciała uratować „cenny” mebel i odwrócić do ściany, czemu się sprzeciwiłam; argumentowałam, że – po pierwsze – nie wiadomo, czy i szafa, i my przetrwamy, po drugie – jeżeli się uchowa, to będzie cennym zabytkiem i dokumentem czasów, w jakich się żyło.

Wkrótce okazało się, iż niebezpieczeństwo jest większe aniżeli w roku 1939, przynajmniej w naszej dzielnicy, którą wtedy Niemcy oszczędzili, podobno dlatego, iż sami zajęli tam wiele gmachów i ulic (aleja Szucha, gimnazjum na placu Trzech Krzyży, gdzie umieszczono Hitlerjugend, i szereg pobliskich ulic). We wrześniu 1939 roku nigdy nie kryliśmy się (to znaczy lokatorzy domu przy ulicy Hożej 5 i sąsiednich) w piwnicy; podczas nalotu schodziło się na parter i przesiadywało się okres nalotu na frontowych schodach domu. Podczas powstania jednak rolę mieszkania spełniała głównie piwnica. Zniosło się więc koce, poduszki, to co było potrzebne do spania i wygodnego siedzenia. Światło dawała

mała lampka naftowa, która szczęśliwie zachowała się i jest dla mnie cenną pamiątką. Wstawało się bardzo wcześnie, ażeby zjeść śniadanie przed nalotem i przygotować coś na następny posiłek, który przyrządzało się i spożywało o różnych porach dnia – kiedy było spokojniej albo późnym wieczorem.

Podczas długich godzin spędzonych w piwnicy zaprzyjaźniłyśmy się z naszą sąsiadką, która mieszkała na pierwszym piętrze pod nami – panią Lehmanową. Mąż jej był właścicielem pięknego sklepu w Alejach Jerozolimskich, pod nazwą Gentleman; sprzedawano tam towary zagraniczne, przeważnie dla mężczyzn. Pani Lehmanową czuła się bardzo zgnębiona, gdyż mąż jej był na Montelupich, synka wysłała na lato na wieś pod Warszawą; została z nią tylko opiekunka synka, panna Kazia, bardzo miła dziewczyna, i gosposia, w starszym wieku, do której pani Lehmanową była bardzo przywiązana, gdyż – jak opowiadała – straciła matkę bardzo wcześnie i owa gosposia niemalże sama ją wychowywała.

Warunki bytowania stawały się jednak coraz cięższe, zaczęło się odczuwać brak wody. I tutaj przytoczę opis tej sytuacji z książki Zambrzyckiego: „Naprzód zauważono na górnych piętrach, że ciśnienie wody maleje. Dowiedziawszy się o tym, pani Sokołowska (gosposia) wpadła do kuchni i zaczęła chwytać wodę we wszystko, co mogło do tego służyć. Ponapełniała garnki, butelki, odkręciła kran nad wanną, przyniosła wiadro, blaszaną bańkę i kilka innych naczyń. Ponieważ większość gospodyń robiła to samo, ciśnienie w rurach spadło gwałtownie i wkrótce zabrakło wody nawet w parterowych mieszkaniach. Przez godzinę czerpano ją jeszcze z kranu przy wodomierzu w piwnicy. I to był już koniec...” (s. 107). Autor jest bardzo dokładny w opisywaniu faktów i sytuacji. Znajdujemy dalej prawdziwą informację, gdzie mieszkańcy naszej dzielnicy (między Kruczą – Mokotowską – placem Trzech Krzyży) mogli zaopatrywać się w wodę. My korzystaliśmy z kranu u zbiegu Wilczej i Mokotowskiej. Zambrzycki pisze, że kwitła tam prawdopodobnie spekulacja, o czym świadczył zawieszony nad kranem plakat: „Za handel wodą kara chłosty”. Ja tego napisu nie przypominam sobie, natomiast pamiętam, że osoby, które stały w kolejce po wodę, wracały nieraz z przestrzelonymi kubelkami, a zdarzało się, że w ogóle nie wracały, tylko je wynoszono.

Ważnym punktem dla naszej dzielnicy była apteka na rogu Kruczej i Hożej (na ulicę wychodziło się w chwilach spokojnych), słynnej z tego, iż nad nią mieszkał ongiś Henryk Sienkiewicz i wstępował tu niekiedy na pogawędkę. W początkach kupowano przede wszystkim leki na uspokojenie, ale po pewnym czasie rozeszła się wiadomość, „że apteka rozdaje darmo nie tylko jakieś kryształki do pieczenia placków jęczmiennych, ale i wszelkie lekarstwa oraz środki opatrunkowe, gdyż właściciel apteki oświadczył: «Tak, rozdajemy, bo co z tym robić. Nie będę przecież czekał, aż bomba trafi w aptekę»” (Zambrzycki, s. 135).

Wierzyć się nie chce. Nie w tym rzecz, że rozdawano leki bezpłatnie, ale że był taki zapas leków! Po kilku latach wojny...